

Więcej niż „ja”



JAGODA
BUREKOWSKA

Nie wiem czy da się jednoznacznie zdefiniować słowo „przygoda”. Brzmi tajemniczo, jak powiew wiatru, którego ani nie możesz przewidzieć, ani złapać – nawet siatką na motyle. Właściwie, gdyby ktoś zapytał o moją przygodę, odpowiedziałabym: „Wiesz, zaczęła się od źle przelanych pieniędzy...”. I to na złe konto bankowe, do złego adresata. Zaczniemy od początku...

Pewnego dnia obudziłam się i stwierdziłam: „Pojadę na wycieczkę”.

Nie byle jaką, bo ze wspólnotą akademicką. Gdy człowiek myśli o takich wyjazdach, najczęściej jest podekscytowany i cieszy się, że pozna nowych ludzi. Zresztą sam proces przygotowawczy nie jest trudny. Wystarczy zapłacić, wsiąść do autobusu, nie potknąć się po drodze i bezpiecznie dojechać na miejsce. Co mogłoby pójść nie tak?

Cóż... Są takie sytuacje, których nie jestem w stanie przewidzieć. Na przykład to, że istnieją dwa duszpasterstwa o tych samych nazwach i to w innych miastach. Moje zdumienie było ogromne kiedy dostałam informację, że pieniądze nie dotarły na właściwe konto. Na szczęście wszystko zakończyło się pozytywnie, zanim zdążyłam ogłosić mały „finansowy stan alarmowy”.

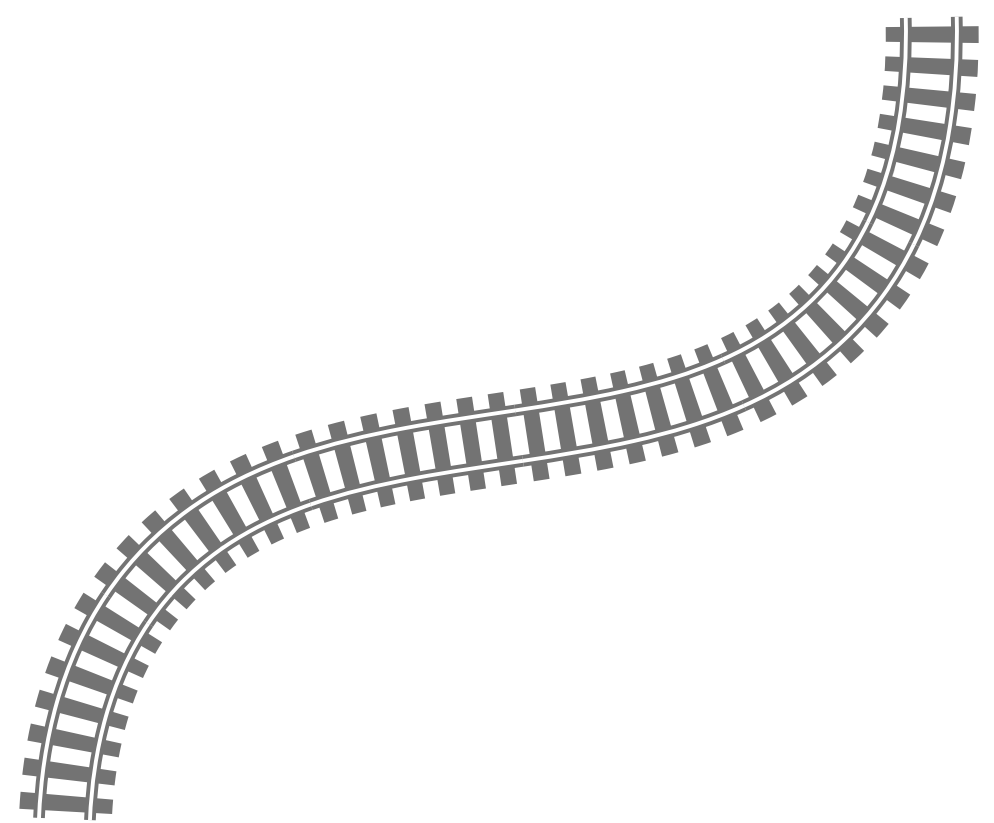
Kolejny zwrot akcji przyszedł szybciej, niż się spodziewałam – razem

z odjeżdżającym autobusem, na który niestety nie zdążyłam. Został mi pociąg. Dłuższy, wolniejszy i zdecydowanie mniej planowany.

Ostatecznie skończyło się na tym, że trzeba było po mnie przyjechać... Na stację kolejową w szczerym polu, gdzie działała tylko jedna, stara latarnia. Było ciemno i zimno, a w oddali słychać było szczekanie psów, które na szczęście nie wpadły na pomysł, żeby za mną gonić. Stałam tam i czekałam, aż ktoś po mnie przyjedzie. I zastanawiałam się co będzie dalej.

To oczywiste, że poznając nowych ludzi chcemy wypaść jak najlepiej, bez żadnych gorszych stron.

Tylko czy we wspólnocie o to właśnie chodzi? Już wiem, że nie...



Gdy tylko dojechaliśmy na miejsce, zostałam posadzona przy ognisku, z talerzem kanapek i kubkiem herbaty, która otulała swoim kojącym zapachem niczym nowo zakupione perfumy. Był już późny wieczór, jednak ludzie cały czas siedzieli przy tym ognisku, prowadzili żywe rozmowy, wymieniając się różnymi historiami. Ja jedynie kiwałam głową, uśmiechałam się i czułam się po prostu dobrze.

I wtedy zrozumiałam, że we wspólnocie nie chodzi o to, aby być kimś idealnym, nieskazitelnym jak idealnie wypolerowana figurka. Bo to nudne i nieprawdziwe. Chodzi o to, żeby być autentycznym i, mimo, że czasami jest to trudne – akceptować kogoś z jego całym bagażem doświadczeń. Nawet tym mniej wygodnym.

Bo wspólnota to nie grupa obcych ludzi. To więź, to budowanie zaufania. To przygoda. Czasem zaczyna się od kilku zwrotów akcji i kończy historią, której nawet nie planowałaś.

■

